

Anna Schiller

„WESELE” W CZYŚĆCU

Dawno, dawno temu pewien cudzoziemiec, któremu opowiedziałam treść *Wesela*, spytał mnie: A kiedy będziecie wolni, to już chyba nie będziecie tego grać, bo po co? Nie odpowiedziałam mu, gdyż sytuacja wolności przerażała wówczas moją wyobraźnię. Ale teraz... Coś by trzeba z tym pytaniem zrobić. Jeśli grać dziś *Wesele*, to po co? Czy tak jak by to zrobił Teatr Powszechny – grać je dla honoru domu, na jubileusz

co jej sensu nie zmienia. Znacznie gorzej się dzieje, kiedy zjawiają się żywe postaci dramatu; tu reżyser nie daje aktorom próżnować, cały czas zadaje im tak zwane działania sceniczne, które najczęściej nie mają nic wspólnego z tekstem. Ich rytmy – z jednej strony zastępują muzykę zastosowaną tu w dawce homeopatycznej, z drugiej strony – ruch aktorów powoduje rozwleczenie tekstu, zamazuje jego sens,

zaś – pijak polski *tout court*. Śmiechy i aplauz, jakimi nagrodziła tę postać publiczność, na tle ogólnie martwego odbioru budziły zażenowanie. Czyżby tylko tyle zostało się dziś dla nas z *Wesela*? Pommik Pijaka Polaka?

Przecież w dwóch momentach pojawia się w tym przedstawieniu dramat, który dociera do widzów. Kiedy Marysia miota się rozpaczliwie między żywym mężem i Widmem kochanka – poruszająca w tej scenie Daria Trafankowska. I kiedy Gospodarz – Piotr Machalica szarpie się patriotycznie między natrętnym, bełkoczącym o czynie Wernyhorą a zdroworoządkową Gospodynią – znakomitą, jak przewaźnie, Joanną Żółkowską. Mogłoby to stanowić cien dowodu na to, że *Wesele*, choć jest utworem „należącym do przeszłości”, historycznym – nie jest przez to teatralnym trupem.

Oczywiście, jeżeli reżyser ma takie pomysły jak czworo ciągle ruchomych drzwi w chacie i kałuże przed nią – aż do znudzenia przez artystów „ogrywane”, jeśli Poeta, raczej mięczakowaty, uprawia na przybzie szwedzką gimnastykę, a owłosiony Chochół jest akrobatą, który dwoi się i troi, przypominając bardziej Puka ze *Snu nocy letniej* niż nieruchawą pałubę, i wiele innych równie pomysłowych pomysłów – to trudno by mówić na tej podstawie, że *Wesele* wychodzi z historycznego czyścica w dobrym stanie. Raczej nadal w czyścicu pozostaje.

Na koniec spektaklu, w dorobionym przez Nazara epilogu, Isia sprząta po pijaństwie, co można chyba tylko rozumieć tak, że świat należy do młodych-trzeźwych-wyspanych-kto-rano-wstaje, i co wygląda jak żywy plakat nawołujący do „życia w trzeźwości”. Takie higieniczne przesłanie wydaje mi się jednak bardzo niewarte dramatu Wyspiańskiego. A choć teatr jako ostrzeżenie dołączył w programie kronikę prasową *Wesela*, w której roi się od głupstw i kompromitującego piętna czasu, trzeba zaryzykować i powiedzieć, że to ostatnie przedstawienie *Wesela* jest puste i bez sensu. Ale czy teraz już tak zawsze musi być?

Janusz Gajos jako Nos w „Weselu”. Fot. Piotr Wójcik



Stanisław Wyspiański
Wesele
reżyseria Krzysztof Nazar
scenografia
Krzysztof Tyszkiewicz
kostiumy Magdalena Testawska
muzyka
Joanna Wnuk-Nazarowa
Teatr Powszechny w Warszawie
premiera 1 października 1995

pięćdziesięciolecia dać coś z klasyki narodowej?

Na scenie Powszechnego pierwsze przemykają się duchy, jakby były tu dobre zadomowicne albo przeprowadzały lustrację miejsc, gdzie będą się objawiać – i szybko znikają. Ten pantomimiczny prolog dopisany przez reżysera, Krzysztofa Nazara, niczego istotnego nie dorzuca i w niczym też specjalnie nie przeszkadza. Ot, widma narodowe i jedno miłosne krążą po polskiej chacie od samego początku sztuki,

w dodatku tekst mówiony bez melodyjności i nie do wiersza, tak że niewiele z oryginału ocalało. W podobnej manierze nadruchliwości Krzysztof Nazar wystawił przedtem *Mizantropa* i było to przedstawienie nieznośnie męczące. W *Weselu*, skutkiem zabiegów reżyserkich, aktorzy nie mieli już sił i miejsca, by tworzyć wyraziste postaci. Choć były tu wyjątki, przede wszystkim Nos – Janusz Gajos, bardzo śmieszna postać, tyle że nie z tej sztuki: u Wyspiańskiego był pijak artysta-dekadent, na scenie